

Edukacja – uśpiony potencjał technologii



WALDEMAR KUCHARSKI

Prezes Zarządu, Learnetic

Choć współczesny potencjał technologiczny jest ogromny, szkoły korzystają z niego w bardzo niewielkim stopniu. Wynika to w głównej mierze z kwestii mentalnościowych – choć niemal każdy nauczyciel i uczeń mają w kieszeni smartfona, to nadal trudno nam sobie wyobrazić, by korzystali z nich podczas lekcji zamiast podręcznika. W jakim kierunku zmierza sektor edukacji? Czy grozi mu monopolizacja przez koncerny pokroju Microsofta czy Google'a? Jakie są kluczowe kompetencje przyszłości, w które szkoła powinna „uzbrajać” uczniów?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor prowadzący „Pomorskiego Przeglądu Gospodarczego”.

Czy Learnetic można określić jako firmę technologiczną?

W dobie cyfryzacji nowoczesne technologie ukrywają się często pod funkcją, którą pełnią. Podobnie jest w naszym przypadku – jesteśmy integratorem edukacyjnym, starającym się zgrywać ze sobą multimedialne „klocki” wykorzystywane w edukacji. Działamy na pograniczu edukacji i IT.

Czym są owe edukacyjne „klocki”?

Najprościej mówiąc, są to nowinki technologiczne, które mogą być wykorzystywane w procesie edukacji. Uczniowie mogą dziś obejrzeć filmy na YouTube, mogą znaleźć treści na Wikipedii, mogą korzystać z tzw. e-podręczników albo rozwiązywać testy wiedzy zamieszczone w internecie. Nauczyciele z kolei mają do dyspozycji dzienniki elektroniczne oraz liczne programy komputerowe wspomagające ich pracę. Problem jednak w tym, że poszczególne te elementy nie współpracują ze sobą, nie są ze sobą kompatybilne. Nie ma jednolitych standardów, które potrafiłyby związać środowisko edukacyjne w jeden kawałek. Zarówno nauczyciel, jak i uczeń potrzebują natomiast prostego rozwiązania, które ułatwi prowadzenie lekcji oraz naukę. Czas lekcji jest zbyt cenny, by marnować go na np. szukanie przez uczniów w swoich komputerach danego programu czy pliku.

Szkoda też wysiłku nauczyciela, który ręcznie musi sprawdzać wyniki testów. Takich przykładów można mnożyć.

W jaki sposób można to wszystko zintegrować?

Umożliwiają to rozwiązania zwane w skrócie LMS – *learning management system*. LMS jest dla edukacji czymś w rodzaju Microsoft Office dla pracy biurowej. Tego typu systemy porządkują cały proces edukacyjny. Niestety, jak na razie są wykorzystywane raczej sporadycznie.

Jako Lernetic macie w swojej ofercie takiego właśnie, szkolnego Office'a?

Tak – staramy się wdrażać prosty w obsłudze standard, poszerzony o narzędzie dla wydawców, tak by mogli oni produkować treści elektroniczne, które przyjmą się w naszym LMS. Warto zwrócić uwagę na to, że oferowany przez nas system ma w sobie funkcję adaptacyjności – to znaczy, że jeśli tylko producent treści interaktywnych przewidzi taką możliwość, podręcznik może zachowywać się w sposób dostosowany do percepcji danego ucznia. Jest to w istocie odchodzić od podręczników linearnych do spersonalizowanych, które np. będą proponowały uczniowi rozwiązywanie zadań adekwatnych do jego aktualnych umiejętności.

Czy rynek LMS można uznać za dojrzały?

Rynek ten nadal można śmiało nazwać pewnego rodzaju niszą. Obecnie w edukacji dopiero tworzą się tego typu standardy. Nie są to jeszcze rozwiązania dojrzałe. Wynika to w dużej mierze z tego, że w samym sektorze edukacji nie wytworzyła się jeszcze powszechna świadomość dotycząca potrzeby otwarcia się na nowinki technologiczne. Szkoła jest dziś unikalną sceną, której niemal wszyscy uczestnicy – tak nauczyciele, jak i uczniowie – mają smartfony w kieszeniach, lecz na lekcjach korzysta się raczej z tradycyjnych narzędzi: tablicy, kredy, zeszytu. Mam wrażenie, że dostępny potencjał technologiczny jest w sektorze edukacji wykorzystywany bardzo słabo.

“ **W sektorze edukacji nie wytworzyła się jeszcze powszechna świadomość dotycząca potrzeby otwarcia się na nowinki technologiczne. Szkoła jest dziś unikalną sceną, której niemal wszyscy uczestnicy mają smartfony w kieszeniach, lecz na lekcjach korzysta się raczej z tradycyjnych narzędzi.**

Sugeruje Pan, że podczas lekcji nauczyciel i uczniowie powinni móc wykorzystywać do nauki swoje własne smartfony czy tablety?

Niezrozumiałe jest dla mnie, dlaczego w czasach, gdy niemal wszyscy posiadają dostęp do tych urządzeń, nie są one wykorzystywane w szkole. Sądzę, że dzieje się tak w głównej mierze dlatego, że choć potencjał technologiczny jest wystarczający, to brakuje dziś pewnego sposobu działania,

modus operandi, w jaki sposób z tych urządzeń podczas lekcji korzystać. Posłużę się przykładem: w zintegrowanym środowisku edukacyjnym nauczyciel za pomocą systemu mógłby zrobić kartkówkę, którą każdy rozwiązywałby na własnym smartfonie. Gdy takiego systemu jednak nie ma – taka próba zakończyłaby się chaosem w klasie i stratą czasu.

Czy jednak korzystanie z własnych urządzeń elektronicznych przez uczniów nie rodziłoby również pewnych zagrożeń? Czy nauczyciel byłby w stanie zapanować nad dziećmi, które zamiast się uczyć, wykorzystywałyby smartfony np. do grania w gry?

A myśli Pan, że kiedy na szkolnych ławkach leżą książki, to każdy uczeń ma je otwarte na tej samej stronie, co nauczyciel? Jeśli nauczyciel przygotowuje ciekawą lekcję przy użyciu smartfonów, to jestem przekonany, że większość klasy zamiast grać w gry czy przeglądać internet, zaangażuje się w nią. Mitem jest jednak mówienie, że nauczyciel może mieć pełną, absolutną kontrolę nad klasą – to niemożliwe niezależnie od tego, czy podczas lekcji wykorzystuje się książki czy smartfony.

W debatach na temat wykorzystywania podczas lekcji urządzeń elektronicznych należących do uczniów pojawia się też z pewnością argument, że nie każdy takowe ma, że rodziców niektórych dzieci może być na nie zwyczajnie nie stać...

Zdecydowana większość uczniów posiada, używa i nosi ze sobą urządzenia elektroniczne, które mogłyby być wykorzystywane podczas lekcji. Oczywiście – jest także grupa dzieci, które takich nie posiadają. Zdarza się też, że uczeń zapomni swojego smartfona albo rozładuje mu się bateria. Jaki jednak problem, by w klasie były 3-4 dodatkowe urządzenia? Szkoły mogą je kupić za naprawdę niewielką cenę, to nie muszą być najnowsze iPhone'y. Zapewnienie dziecku sprzętu z dostępem do internetu jest obecnie przecież tańsze od zapewnienia mu codziennie ciepłego posiłku.

Mówiąc szczerze – nie sądzę, by ta argumentacja przekonała osoby decydujące o kształcie edukacji...

Faktycznie, problemem we wdrażaniu podobnego typu filozofii może być, szczególnie w Europie, poprawność polityczna. W jej myśl, skoro w klasie jedno dziecko nie ma smartfona, to zamiast pożyczyć mu go, by korzystało z niego podczas lekcji, lepiej w ogóle zrezygnować ze stosowania urządzeń elektronicznych przez wszystkich uczniów. Zupełnie nie dziwi, że podejście *bring your own device* (BYOD) powstało w Stanach Zjednoczonych, gdzie mentalność jest zupełnie inna.

Uczestnikom sektora edukacyjnego w Polsce oraz szerzej – w Europie – potrzebna jest zatem zmiana mentalności?

Jeśli wybrałby się Pan do pierwszej lepszej polskiej szkoły, 9 na 10 uczniów będzie miało w plecaku smartfona. Podobnie jak nauczyciel. Ale nie wolno na ten temat mówić – lepiej ten sprzęt wyciszyć, wyłączyć, schować i go nie używać. Wyjmiemy te urządzenia i co? Nie ma systemu, wkradnie się chaos. Staramy się na to wyzwanie odpowiedzieć. To kwestia zarówno polityki, mentalności, jak i rozwiązania integrującego, w stylu LMS.

Pańska poprzednia firma – Young Digital Planet została kilka miesięcy temu zamknięta przez fińskiego właściciela, który uzasadniał to faktem, że tworzone przez YDP technologie i rozwiązania edukacyjne sprawdzały się w latach 90. i na początku XXI w., lecz obecnie, w dobie cyfryzacji, klienci oczekują innych, których YDP nie realizuje. Learnetic działa w tej samej branży co YDP. Nie boicie się zatem o popyt na Wasze rozwiązania?

Absolutnie nie. To tak, jakby powiedzieć, że Nokia przegrała, bo technologie komórkowe z lat 90. przeminęły. Nie kupuję takiego podejścia – nikt firmom nie zabrania dopasowywać się do otaczającej je rzeczywistości. Learnetic tym się różni od YDP, czym Samsung od Nokii – nie przespaliśmy momentu, w którym na technologiach mobilnych należało się skoncentrować i coraz bardziej je dopieszczać. Zauważyliśmy to i staramy się odpowiedzieć na nowe potrzeby pojawiające się razem z nimi.

“ **Nikt firmom nie zabrania dopasowywać się do otaczającej je rzeczywistości. Nam udało się nie przespać momentu, w którym na technologiach mobilnych należało się skoncentrować i coraz bardziej je dopieszczać.**

Learnetic jest obecny na kilkudziesięciu rynkach świata. Od początku Waszą strategią było wyjście za granicę?

W tej branży nie da się zacząć od rynku krajowego. Oprócz rynku amerykańskiego i raptem kilku innych nieco mniejszej wielkości, które są homogeniczne i tworzą swego rodzaju „małe światy”, nie moglibyśmy sobie na to pozwolić. Skupiając się na jednym kraju bralibyśmy na siebie ogromne ryzyko. Wystarczy, że władze odpowiadające za edukację zmienią swoją opinię na temat naszych produktów albo program nauczania i już pojawia się duży problem. Trzeba szukać swojego miejsca na świecie, w wielu lokalizacjach.

Jaka jest wasza pozycja na europejskim rynku?

Trudno jest mówić o rynku europejskim, gdy w samych tylko Niemczech każdy land ma swoje własne założenia edukacyjne. Unia Europejska dążyła niedawno do wydania wspólnego podręcznika do historii, co skończyło się totalnym fiaskiem. Nie jesteśmy dziś w stanie stworzyć w Europie jednego rynku edukacyjnego. Jak bowiem tego dokonać, kiedy poszczególne państwa europejskie mają tak odmienne poglądy na temat wielu różnych spraw? Nie funkcjonujemy w tak komfortowym środowisku, jak np. Stany Zjednoczone, gdzie rynek wewnętrzny jest ogromny i można osiągnąć sukces biznesowy zajmując niewielką nawet niszę.

Z pewnością nie jesteście jedyną firmą, która stara się być integratorem elementów edukacyjnych. Czy konkurujecie z podmiotami o charakterystyce podobnej do Learnetic, czy

też musicie walczyć w jednej lidze z gigantami pokroju Microsofta czy Apple'a, które mogą mieć chrapkę na wprowadzenie i popularyzowanie swoich „szkolnych Office'ów”?

Korporacje z pewnością miałyby na to chrapkę, lecz problemem jest rozdrobnienie rynku edukacyjnego. Można zrobić Facebooka funkcjonującego na całym świecie tak samo, można powszechnie wykorzystywać Google Docs, ale z edukacją jest znacznie trudniej. Niełatwo jest bowiem znaleźć wspólny mianownik dla sektora edukacji na całym świecie. Wielkim koncernom, chcącym korzystać z efektu skali i powszechności, to się przynajmniej nie udaje.

“ **Rynek edukacyjny jest na całym świecie bardzo rozdrobniony, przez co wielkie koncerny – chcące korzystać z efektu skali i powszechności – mają problem z tym, by na nim zwyciężyć.**

Większe od nas podmioty, które również działają w branży LMS-ów mają szersze spektrum rozwoju w środowiskach akademickich, które są z natury bardziej zunifikowane od szkół, na których koncentrujemy się my. Potrzeby uniwersytetu w Polsce, Stanach Zjednoczonych i Wietnamie są podobne. Potrzeby szkół w każdym z tych państw są już natomiast zupełnie inne.

Jeżeli chodzi o naszą bezpośrednią konkurencję, w skali świata jest może 10-20 firm, które starają się robić rzeczy podobne do nas, choć nie identyczne. Trudno mi jednak mówić o nich jako o *stricte* konkurentach, gdyż oferowane przez nas rozwiązania integracyjne są unikatowe, nikt nie ma ich w skali 1:1. Konkurentów mamy za to jak najbardziej jeśli chodzi o rynek narzędzi do tworzenia treści edukacyjnych, na którym również jesteśmy obecni.

Tworzone przez Learnetic rozwiązania są w stu procentach Waszym dziełem, czy też zlecacie niektóre usługi innym firmom?

Korzystamy z outsourcingu usług informatycznych. Uznaliśmy, że skoro w Trójmieście mamy do dyspozycji cały rynek małych, prężnych przedsiębiorstw, z którymi można współpracować, to nie ma sensu budować od podstaw całego działu informatycznego wewnątrz firmy.

Jako osoba od lat związana z branżą około-IT, ocenia Pan zatem lokalny rynek jako dojrzały?

Nie będę silił się na oryginalność: nasi informatycy są cenieni w skali świata, o czym najlepiej świadczy to, że w Trójmieście lokuje się wiele firm, które wykorzystują lokalne zasoby IT. Centrum Intela w Gdańsku czy cała masa mniejszych rozwijających się firm informatycznych są najlepszą cenzurką kondycji lokalnego rynku.

Często słychać, że chcielibyśmy być drugą Doliną Krzemową, lecz pomimo boomu w IT, nadal brzmi to raczej jak marzenie. Czego nam brakuje?

Jedyne czego nam brakuje, to stabilizacji kapitałowej. Jesteśmy krajem kapitalistycznym bardzo krótko i mamy w społeczeństwie słabe poczucie kapitalizmu, który często jest przez Polaków odbierany pejoratywnie. Moim zdaniem to właśnie brak kapitału różni nas w największym stopniu od Doliny Krzemowej.

Jakie są tego konsekwencje?

Mamy bardzo sprawnych informatyków, którzy jednak zajmują się w większości projektami odpowiadającymi zewnętrznym potrzebom potentatów pokroju Nordei, Intela czy Lufthansy. Bardzo mało jest natomiast swobodnej myśli, firm posiadających własne rozwiązania. Reaktywny charakter lokalnych przedsiębiorstw IT wynika z braku rynku wewnętrznego i braku kapitału. Ewidentnie nie ma u nas możliwości zrobienia start-upów w takiej skali, jak w Kalifornii. Tym się różnimy.

“ **Mamy na Pomorzu bardzo sprawnych informatyków, którzy jednak zajmują się w większości projektami odpowiadającymi zewnętrznym potrzebom potentatów pokroju Nordei, Intela czy Lufthansy. Bardzo mało jest natomiast swobodnej myśli, firm posiadających własne rozwiązania.**

Jak się jednak ma do tego społeczny odbiór kapitalizmu?

Chodzi o niską skłonność do wydawania kapitału. Znam wiele osób, będących właścicielami firm z różnych branż w Trójmieście, wartych naprawdę duże pieniądze. Mottem większości z nich jest radzieckie przysłowie: „ciszej jedziesz, dalej zajedziesz”. Taką atmosferę da się u nas cały czas wyczuć. Ma to swoje efekty – widać je chociażby patrząc na liczbę pomorskich start-upów technologicznych, które odniosły sukces. Jest ich niewiele bo niewielu jest też ludzi, którzy chcieliby je wesprzeć, dokapitalizować. Wolą oni siedzieć cicho, niż się w coś zaangażować.

Pamiętam, że około 10 lat temu jeden z dziennikarzy zapytał mnie, dlaczego w Polsce jest tak mało, w porównaniu z innymi krajami, akwizycji kapitałowych. Mieliśmy już przecież wówczas bogatych Polaków, a mimo to nie kupowali oni firm na Zachodzie, wewnętrzny rynek kapitałowy też był u nas mało ruchomy. Nie potrafiłem wtedy odpowiedzieć na to pytanie. Myślę, że teraz wiem już, w czym tkwi sedno – chodzi o mentalność. Niechęć do funkcjonowania jako kapitaliści, do operowania własnym kapitałem, z pewnością nas ogranicza, czy wręcz upośledza. Kapitał mniej kojarzy nam się z szansą, a bardziej z kapitałem Marksa, czyli czymś, co należy napiętnować, a przynajmniej nie za bardzo się do tego przyznawać. Logika rozumowania jest prosta: skoro kapitalizm jest zły, to zły jest też kapitał. A skoro kapitał jest zły, to jakim cudem mają się rozwijać start-upy, które bazują na kapitale? Mówiąc o braku kapitału nie mam więc do końca na myśli,

że firmom brakuje pieniędzy, lecz to, że brakuje odwagi, którą mają chociażby inwestorzy w Kalifornii. Odwagi, by zaryzykować i pofrunąć.

“ **Kapitał mniej kojarzy się w Polsce z szansą, a bardziej z kapitałem Marksa, czyli czymś, co należy napiętnować, a przynajmniej nie za bardzo się do tego przyznawać. A skoro kapitał jest zły, to jakim cudem mają się rozwijać start-upy, które bazują na kapitale?**

Wróćmy jeszcze na moment do kwestii edukacji. Jakie są kluczowe kompetencje przyszłości, które należałoby rozwijać wśród uczniów?

Sądzę, że niedługo w szkołach będziemy się uczyli przede wszystkim bazowych umiejętności, jak czytanie, liczenie, pisanie. Bardziej niż na gromadzeniu wiedzy będziemy się też skupiali na skutecznym jej pozyskiwaniu. Gospodarka i technologia ewoluują dziś tak szybko, że trudno określić, czego dzisiejszy dziesięciolatek będzie potrzebował w wieku 25 lat. Prawdopodobnie więc czeka nas ustawiczna edukacja przez całe życie oraz częste przekwalifikowywanie się. Jeśli chodzi o sferę kompetencji, jedyne co jesteśmy obecnie w stanie przewidzieć to to, że najważniejszą umiejętnością człowieka będzie w przyszłości zdolność do utrzymania w sprawności swojego aparatu poznawczego, kognitywnego. Wbrew pozorom – jest to trudne wyzwanie. Ludzie od dziesięcioleci są przyzwyczajeni, że kończą szkołę, a przez resztę życia bazują na doświadczeniu. Stąd też niewielu jest dziś gotowych na to, by w połowie życia się przekwalifikować.

“ **Najważniejszą umiejętnością człowieka będzie w przyszłości zdolność do utrzymania w sprawności swojego aparatu poznawczego, kognitywnego. Czeka nas bowiem ustawiczna edukacja przez całe życie oraz częste przekwalifikowywanie się.**

Żyjemy w dobie automatyzacji wielu procesów – czy nie dotknie on również sektora edukacji? Czy już niebawem młodym ludziom będzie w ogóle w szkole potrzebny nauczyciel? Firmy takie, jak Learnetic mogą przecież stworzyć rozwiązania umożliwiające skuteczną i samodzielną naukę czytania, liczenia i pisania...

Powiem trochę na przekór: zawód nauczyciela nie zniknie z prostego powodu – dzieci chodzą do szkoły nie tylko po to, by się uczyć, ale głównie po to, by spotykać się z innymi dziećmi, by się socjalizować. W ten sposób uczą się umiejętności społecznych, przy okazji przyswajając wiedzę z matematyki czy geografii. Gdyby chodziło o samą naukę, wiele badań dowodzi, że uczenie się

w domu z guwernantem jest znacznie bardziej efektywne. Tyle tylko, że odizolowane od grupy dziecko nie jest wówczas przystosowane do życia w społeczeństwie. Szkoły przetrwają, bo jesteśmy istotami społecznymi coraz bardziej potrzebującymi współpracy.

Nie chcę oczywiście absolutnie umniejszać ważnej roli nauczyciela. Nauczyciel, jako ośrodek komunikacji, mistrz, kierujący edukacją, nawet jeśli będzie to edukacja oparta na nowoczesnych technologiach, zawsze będzie potrzebny. Będzie tylko obudowywany kolejnymi narzędziami. Tak samo jak maszyna parowa nie wyeliminowała ludzi, tylko przewartościowała ich kwalifikacje.

O rozmówcy



WALDEMAR KUCHARSKI

Prezes Zarządu, Learnetic

Waldemar Kucharski jest współzałożycielem i prezesem zarządu Learnetic. Jeden z założycieli oraz były prezes zarządu Young Digital Planet. Absolwent Wydziału Elektroniki Politechniki Gdańskiej.